

Warszawa dnia 17 Maja 1865 roku.

Nr 20. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

ABRAHAM LINKOLN.

Nie mamy z pewnością między spółczesnemi znakomitościami, lepszego i wybitniejszego wzoru wytrwałości nieugiętéj i pracy nieprzełamanéj niczem, nad ten, jakiego dostarcza nam świeżo zamordowany prezydent Stanów Zjednoczonych Północnéj Ameryki, Linkoln. Mąż ten niezłomnéj wytrwałości, zdobytem stanowiskiem, które go na szczycie milionów ludzi postawiło, dowiódł téj zbawiennéj i zawsze godnéj zalecania i powtarzania prawdy, że nie urodzenie, nie majątek, ale praca i wiecznie praca, stanowi najgłówniejszą i najtrwalszą człowieka ozdobę, i że pracą zdobywa się stanowisko najszczytniejsze i najmilsze zarazem, bo nikomu się go niezawdzięcza, tylko wyłącznie sobie.



Abraham Linkoln.—(Wycięto w drzeworytni Wiedeńskiéj Waldheima).

Abraham Linkoln, ten wysoki przewodnik Północnéj Ameryki, ten prezydent Stanów Zjednoczo-

nych, z nizkiéj bardzo pochodził rodziny. Był synem chłopa, i pierwszą młodość swoją spędził na ciężkiéj pracy, będąc z początku parobkiem, a później flisakiem.

Zaprawdę, iż mimo szczupłości miejsca, na którem tutaj zamierzamy podać wam niektóre o życiu tego męża szczegóły, wciska się nam gwałtem pod pióro nie jedno wzniosłe i głębokie uczucie, jakie nas przejmuje w téj chwili, gdy myśl naszą od szczytu wielkości człowieka, do początku jego żywota zwracamy!

Ileż to szczebli przejść trzeba było w pokorze, ile przeciwieństw usunąć z drogi, ile razy mocą ducha i potęgą niezłomnéj woli przełamać upór i zawziętość losu, ile razy uleczyć ze zwątpienia serce, i niedać mu zwątpić, nie dać mu upaść, aby nareszcie dojść do celu, aby spełnić posłannictwo od Opatrzności nakreślone! Szczytny to zawód, prześliczny wzór dla wszystkich, ogromna zachęta do pracy. Ceniąc też niezmiernie wysoko tę wytrwałość znakomitego Linkolna, podajemy tu o nim wiadomość najprzód z tego powodu, aby w chwili, gdy wszystkie gazety o jego zamordowaniu donoszą, zapoznać czytelników naszych bliżéj z jego osobą; a powtóre, aby prawdą opowieści o jego kolejach losu, tak wymownym przykładem składając cześć rzetelnéj pracy, zachęcić ku niéj i zjednać jéj coraz szersze koło w naszéj gromadce.

Abraham Linkoln, urodził się w r. 1809 dnia 12 lutego. Rodzice jego mieszkali w Indjanie, a chłopięce lata spędzał młody Abraham pod ich okiem, jako rosły i zdrowy chłopak, z siekierą w ręku, pomagając ojcu w karczowaniu lasów. Blizko przez lat dziesięć, tylko do prac rolnych był używany. Naukom poświęcał bardzo mało czasu: potrzeba zarobku, nie pozwalała mu odrywać się od pracy. Mając lat 19 popłynął po raz pierwszy do Nowego-Orleanu, jako flisak, i w roku następnym powtórzył znowu to rzemiosło, pomagając do wybudowania krypy, i zarabiając po dwanaście dolarów na miesiąc, t. j. po 160 złotych polskich.

Gdy z flisu powrócił, właściciel krypy zadowolniony z jego uczciwego i rozsądnego postępowania, dał mu zajęcie w sklepie i młynie swoim, jakie w *New-Salem*, w *Illinois* posiadał. Około tego czasu wybuchła wojna przeciwko tak zwanym *Czarnym Sokołom*, t. j. Indjanom niepodległym, i Linkoln walczył w niéj, będąc od swojéj kompanji obranym dowódzcą. Obiór ten taką sprawił mu radość, jakiéj, jak sam opowiadał, przy żadnéj nominacji późniéj nie doświadczył. Przez trzy miesiące był czynny i tak się odznaczył, iż wigowie hrabstwa, przedstawili go jako kandydata do Izby prawodawczéj. Nie utrzymał się wszakże, i założyć musiał sklep na własny rachunek, który jednakże nie szedł mu szczególnie, i dla tego odstąpił go, i objął miejsce zarządzcy poczty w New-Salem. Wtedy poczuł w sobie żądzę wiedzy, i zrozumiał, że z wielką będzie się potrzeba pracą starać o jej zdobycie.

Od sąsiada pożyczył stosownych książek, i uczył się z nich wieczorami, po wypełnieniu swych obowiązków. Późniéj przedstawił mu jakiś mierniczy prowincjonalny, aby się podjął pewnéj części jego roboty, i Linkoln zgodził się na to; rozpoczął nowe to dla siebie powołanie, bez żadnych wielkich przygotowań, kupił tylko podręcznik o miernictwie, kompas i łańcuch mierniczy. W r. 1834 obrano go na sejm, i do r. 1840 wciąż otrzymywał głosy swych współobywateli. Roku 1836 otrzymał pozwolenie do praktyki adwokackiéj, i wraz z majorem Johnem S. Stuartem, otworzył bióro w Springfield.

To powołanie okazało się dlań najwłaściwszem; pozyskał bowiem powszechny szacunek i poważanie jako obrońca, mianowicie w przypadkach kryminalnych.

Polityczna rola Linkolna zaczęła się zwiększać od roku 1844. Z powodu krasomówczych zdolności i wziętości, jakiéj używał w Illinois i Indjanie, zrobili go wigowie swoim politycznym przedstawicielem w obydwóch tych stanach. Roku 1847 wszedł do izby deputowanych na kongres. Na tem stanowisku zachowywał się z odpowiednią godnością: głosował za cłem ochronnem, za wyraźnem określeniem stosunku prawego rządu, unji pojedyńczych stanów, za zniesieniem handlu niewolnikami i niewolnictwa w okręgu Kolumbijskim, i wreszcie przeciw przyjęciu Teksasu do unji. Dwa czy trzy razy usiłowali przyjaciele wprowadzić go do senatu, ale bezskutecznie. Na narodowem zebraniu w r. 1856, deputowani ze stanu Illinois wszystkich dokładali starań, aby utrzymać go jako kandydata na vice-prezydenta, lecz nie dopięli swego celu. W cztery dopiero lata przyszła koléj i na Linkolna. Większością głosów 354 przeciw 110, wyniesiony został na prezydenta, osiągając szczytu swoich dążności, i nagrody za ciągłą i wytrwałą pracę. Wyniesienie Linkolna na prezydenta unji, uważali Południowcy jako wypowiedzenie im wojny; gotowali się do zerwania unji i jawnie się uzbrajali. Jakoż nie odbył jeszcze Linkoln swojego uroczystego wjazdu do Kapitolium, a już kongres zebrany w Montgomery ogłosił swoją niezawisłość. Prawie wszystkie obronne stanowiska zajęte były przez Południowców, tameczne wojska unji rozpuszczone, własność związkowa przepadła. Linkoln, mimo energji, z jaką rozpoczął zawód swój polityczny, którego wszystkie zasady wypowiedział w mowie przy objęciu władzy (4 marca 1861), starał się przedewszystkiem powaśnione umysły sprowadzić do jedności i zgody. „W każdym razie, mówił on, z tą myślą i z tą nadzieją przystępuję do dzieła, iż nieporozumienia narodowe, na drodze pokojowéj rozwiązane będą i bratnia jedność powróci.”

Program ten niepodobał się republikanom i energiczniejsza część stronnictwa odstąpiła Linkolna. Trudne wielce było stanowisko nowego prezydenta. Chciał oszczędzać i oszczędzał krwi swoich ziomków, lecz mimo to nie mógł powstrzymać wojennych kroków. Po napadzie na fortecę Sumpter położoną w zatoce Charleston, Linkoln zwołał obie izby, żądając od nich upoważnienia do powołania 75,000 milicji. Teraz cała północ powstała jak jeden mąż, i czas działania nastąpił. Wojna okropna wybuchła, i jeszcze do dziś dnia losy jéj nie rozstrzygnięte. Nie wchodząc jednak w szczegółowy przegląd jéj wypadków i następstw, bo te nie należą do zakresu naszego pisma, na zakończenie krótkiego artykuliku o Linkolnie, smutną nareszcie zapisać musimy wiadomość, którą właśnie w tych dniach telegrafy rozniosły po całym świecie.

Ten znakomity mąż pracy i wytrwałości, mąż nieugiętéj woli, po czterech zaledwie latach piastowania najwyższéj godności—ten Linkoln, którego nigdy nie przestaniemy podawać za wzór stałości i wytrwania, zamordowany został d. 24 kwietnia r. b., ręką niejakiego Johna-Wilkesa Bootha, aktora an-

gielskiego, który, jak się to pokazuje coraz wyraźniéj, był tylko ohydnem narzędziem spisku nieprzyjaciół prezydenta. Booth dokonał morderstwa na Linkolnie w loży jego w teatrze, o godzinie 10½, podczas antraktu. Wszedł on do loży, któréj drzwi nie były strzeżone, rzucił się nagle na prezydenta, i przyłożywszy pistolet do głowy, roztrzaskał mu czaszkę. Kula wszedłszy w tył głowy, przeszła prawie na wylot. Morderca natenczas skoczył z loży na teatr, wywijając szerokim puginałem, czyli *bowie-knife*, poczem wymknął się przez kulisy. Wystrzał pistoletowy powalił Linkolna na ziemię bez czucia, ale jeszcze dyszącego. Dopiero następnego dnia o godzinie 7-éj minut 20 wyzionął ducha, nie powróciwszy ani na chwilę do przytomności. Morderca Linkolna został wykryty i są już dowody, że cały szereg tego rodzaju zbrodni, których tam więcéj popełniono, jest dziełem spisku buntowników, pod pozorem pomszczenia Południa i pomożenia jego sprawie. Wrażenie sprawione przez tę zbrodnię jest tak wielkie, tak ogólne, tak bolesne, że obecnie gazety zagraniczne, nie są nawet w stanie rozpisywać się nad tym najświeższym faktem.

WIOSENNI GOŚCIE.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 19).

Jak w życiu człowieka, tak w przyrodzie, krótko trwają chwile pogodne. Znów powiał wiatr zimny, gwałtowny; zbierają się gęste chmury i szybko przelatując, sypią na ziemię śnieg i grad drobny. Tylko co przybyły skowronek, ukrył się w gęstwinie krzaków; prócz niego żaden ptak wędrowny nie wrócił jeszcze do dawnéj siedziby swojéj, z któréj go brak żywności wypędził, ale pomimo wiatru i chłodu zwija się po drzewach *dzięcioł*, wydłubując liszki owadów, z pod spruchniałéj kory drzew, w którą uderza silnym swym dziobkiem i głośne echo wzbudza po lesie. Mała *sikorka* słabsza od niego, porzuca las, i zbliża się ku domom szukając schronienia i żywności. Oba te ptaki, których kilka u nas mieszka gatunków, nie opuszczają nás na zimę, bo i w téj ostréj porze roku, żywność znajdować umieją. Sikora na małem przestaje: kilka liszek wydłubanych z pod kory, trochę nasionek, które wiatr nie rozwiał, trochę rozsypanego zboża około mieszkań ludzkich, wystarczają dla niéj. Dzięcioł da sobie radę i obfite znajdzie pożywienie, na każdem niemal drzewie, bo na każdem jest mniéj lub więcéj liszek i gąsienic albo ich poczwarek, z których na wiosnę wylęgają się owady, psujące drzewa leśne i owocowe. Pożyteczny też to ptak, i grzechem byłoby wyniszczać go, zabieraniem piskląt, jaj lub strzelaniem.

Po kilkudniowéj zamieci i zimnie, znów wyjrzały na świat Boży, śnieżyce i szafrany; teraz jednak nie długo już potrwają, ustępując miejsca innym kwiatom wiosennym. Coraz więcéj ociepla się powietrze, ziemia zupełnie rozmarzła. Anemony czyli zawilce, począwszy od najrańszych gajowemi zwanych, zakwitły w rozmaitych barwach. Najpiękniejsze z nich *przylaszczki*, modre jak błękit nieba; największe zaś dziurkowate tak zwane *sasanki*, *czarne ziele* lub *sen;* są też złocisto-żółte i duże, białe do narcyzów podobne i kilka jeszcze innych gatunków. Wszystkie pomimo piękności i wczesności kwiecia, zawierają w sobie ostrość zjadliwą, a bydło ich unika. *Miodunki* czyli *płucniki*, rozwinęły różowo-błękitnawe koronki swoje. *Fijołki* ukazały się w wielu gatunkach, lecz dwa z nich tylko miłym zapachem są obdarzone. Zwykły pachnący fijołek i tak zwany *dziwny* czyli *dwoisto-kwiatowy*, późniéj nierównie kwitnący, nazwę swą winien szczególniéj budowie kwiatów, z których jedne wyrastają z korzenia na długich szypułkach i są fioletowe, a nasion nie wydają, drugie późniejsze w górze łodygi, w kątach listków na krótkich szypułkach są osadzone, nie mają wcale korony, lecz są rodzajne. Zapach fijołków, tak przyjemny i ulubiony, jest jednak dla zdrowia szkodliwy, jeżeli kwiatki te w znacznéj ilości w ciasnem mieszkaniu, w nocy trzymane będą; wyziewając bowiem gaz węglowy, sprawiają mocny ból i zawrot głowy. *Pierwiosnki*, którym niesłusznie nadano tę nazwę, bo nie są pierwszemi kwiatkami wiosny, zaczynają ozłacać szare jeszcze posłanie gajów.

Gęsi dzikie wróciły do dawnych siedzib swoich, i zaczynają zwiedzać zieleniejące już posiewy zboża. Tam, na wierzchołku tego suchego dębu, klekocą bociany: są to najpożądańsi goście wiosny; powrót ich zwiastuje zwykle cieplejszą już porę; stały się one u nas domowem prawie ptastwem; wszędzie lud szanuje ich i oszczędza, zabicie bociana, zabranie mu jaj, lub popsucie gniazda, uważa się za ciężki występek. Wieśniak, widzi w bocianie opiekuna swojego domku i wioski: póki ptak ten na dachu się gnieździ, póty chata ma być bezpieczną od pożaru i zarazy, a rodzina w niéj mieszkająca ma się pomnażać, nie doznając nigdy niedostatku. Dla tego wszyscy się cieszą, gdy bocian założy swe gniazdo na dachu, i starają się w tem mu dopomódz, kładąc stare koło w obranem przezeń miejscu. Zkąd poszły takie o bocianie przesądy i religijne prawie poszanowanie tego ptaka, trudno z pewnością objaśnić; zdaje się, że mu to zjednała użyteczność; bocian bowiem, karmiąc się żabami, wężami, szarańczą, ślimakami, różnem robactwem i myszami, mnóstwo ich wyniszcza. Pomimo tych zalet, ujemną jego stroną jest wykradanie ryb ze stawów i sadzawek, chwytanie pszczół w blizkości pasiek, tudzież wyjadanie z gniazd młodych ptasząt. Dla tego, gdzie bocian oswojony w domu się chowa, potrzeba mieć baczność na kurczęta, które chciwie chwyta, tudzież na małe dzieci, bo je niebezpiecznie skaleczyć może. Zbytnią byłoby rzeczą dowodzić, że bocian nie jest w stanie ochronić domu, na którym się gnieździ, od pożaru; śmieszny to między ludem niektórych okolic przesąd. Widziano nieraz przy pożarze domów, palące się wraz z niemi i gniazda bocianów; owszem, też gniazda, gdy są obok kominów umieszczone, bywają nieraz powodem do powiększenia niebezpieczeństwa, a przynoszone do gniazd jadowite żmije, niekiedy przez strzechę do izb się dostawały; kto zatem dba o schludność i bezpieczeństwo mieszkania swojego, powinien zapobiegać, aby w zagrodzie jego bociany się nie gnieździły. Wierzchołki drzew wysokich, są najprzyzwoitszem dla nich miejscem, byle niezbyt od domów oddalone były, gdyż ptak ten lubi sąsiedztwo ludzi. Bociany samcy wprzód przylatują niż samice, i upatrują stosowne miejsca dla gniazd swoich, potem niewidać ich czas pewien i powracają już z całą rodziną. Staczają niekiedy pomiędzy sobą zacięte boje, tak o samice, jak równie o miejsca przez siebie zajęte, a obfitujące w żywność. Skoro jednak letnie upały wysuszą błota i moczary, a gady przeniosą się w cieniste ustronia; to i bociany porzucają swoje otwarte siedziby, a odlatują do lasów, gdzie osiadają przy strumieniach, rzeczułkach, błotach i wilgotnych zaroślach; gdy zaś i tam za zbliżeniem się jesieni, wyczerpie się żywność, to już wówczas przygotowują się do odlotu. Na ten cel zbierają się gromadnie na leśnych błotach, jakby dla narady o przyszłéj wędrówce, tak zaś są tem zajęte, że nawet zbliżenie się człowieka, spłoszyć ich nie zdoła. Na tem zgromadzeniu odbywaja się niekiedy i sądy. Starszyzna bociania robi przegląd całego stada, a skoro w niem znajdzie ptaki niedołężne, zbyt stare lub słabe, otacza je do koła, rzuca się na nie i dobija, w tym zapewne celu, aby w czasie podróży, sobie samym i całemu stadu, nie były ciężarem i przeszkodą. Wiele też krąży między ludem wieści, o zemście, jaką bocian wywiera nad niewierną

mu samicą. Wieści te jakkolwiek często przesadzone, mogły jednak wziąść początek z prawdziwego zdarzenia. Wychodzące w Londynie czasopismo naukowe, pod nazwą *Zoologist*, umieściło niedawno następującą wiadomość, z wiarogodnego źródła zaczerpniętą: Na dachu domu pewnego angielskiego kupca, mieszkającego w Zelandji, para bocianów zbudowała sobie gniazdo i corocznie powracała do niego, żyjąc w zgodzie i pokoju; kupiec jakkolwiek lubił tę zgodną parę, niemógł jednak pohamować w sobie chęci doświadczenia, czy też téj zgody nic już zakłócić nie może. Na ten cel, z wszelką ostrożnością przemienił jaja bocianie na sowie, i uważał co daléj nastąpi. Skoro w swoim czasie, z jaj wykluły się pisklęta; gospodarz domu, sprawca tego podstępu, posłyszał niezwykłe zamieszanie w gnieździe. Wyszedłszy na podwórze, ujrzał, że bocian samiec zawzięcie klekocąc, przytem w koło oblatywał gniazdo; samica zaś z największą usilnością, starała się strzedz piskląt i zakrywała je sobą. W kilka chwil samiec odleciał, a po niejakim czasie powrócił, wiodąc za sobą dwa inne bociany. Tu dopiero zaczął się sąd: bociany przybyłe, wraz ze zdradzonym małżonkiem, chwilę jeszcze latały wkoło gniazda, potem spuściły się na nie, klekotały, oglądały je, a rzuciwszy się gwałtownie na oskarżoną samicę, pomimo jéj krzyku i obrony, silnemi dziobami śmierć jéj zadały, a wysiedziane przez nią sowięta, zrzuciły na ziemię. Osierocony samiec, opuścił natychmiast gniazdo, tyle lat zamieszkiwane i już więcéj do niego nie wrócił. Pomimo to, przywiązanie samca do samicy nie podlega wątpliwości. Professor *Kessler* zapewnia, że gnieżdżący się w Kijowie w 1851 roku bocian, straciwszy swoją towarzyszkę, z tęsknoty w ciągu dnia jednego żyć przestał. Bocian zalatuje w Europie nie daléj na północ, jak do południowéj Szwecji, i już w Anglji jest rzadki. W Rossji mieszka ledwie na trzeciéj części jéj ogromnéj przestrzeni; w Syberji i w środkowéj europejskiéj Rossji, wcale go nie ma. Kraina zawarta między zachodnią Dźwiną, Dunajem, morzem Czarnem i Dnieprem, jest właściwie głównem miejscem jego pobytu. Nie znają go w Moskwie, a nawet w północnych powiatach gubernii Czernihowskiéj. Bociany odleciawszy od nas na zimę, w pewnéj części pozostają w południowych Włoszech, w Konstantynopolu i Sewilii; większe stada lecą do Małéj-Azji; główną zaś ich zimową leżą jest dolina Nilu, obfitująca w mnóstwo gadów i płazów. Prócz zwyczajnego bociana, tak przywiązanego do mieszkań ludzkich i każdemu znajomego, mamy i drugi u nas gatunek *bocianem czarnym* albo *kajstrą* zwany. Różni się on od poprzedzającego ciemnem upierzeniem, mniejszym wzrostem, a nadewszystko obyczajami; żyje bowiem w miejscach odludnych i do mieszkań się nie zbliża. W Zach. gub. przebywa w puszczy Białowieskiéj; professor Kessler postrzegał go pod Kijowem. *(Dalszy ciąg nastąpi).*



Ach! pocóż tutaj, pocóż do biura...—(str. 157, szp. 2).
(Rysował Tegazzo — wyciął na drzewie Szymborski).

DWAJ BRACIA.

*(Ciąg dalszy.—*Patrz Nr. 17 i 18).

Pomimo, że butny pan Michał słowem miłości rodzicielskiéj nigdy Antosia nie pocieszył, pomimo że oddał go do terminu, niby stworzenie z którem na świecie nie było co robić, pomimo ciągłéj a niezasłużonéj pogardy dla siebie, Antoś tak wysoko w cnoty od matki był uposażony, że i dla zimnego swego ojca chował miłość, która tlała w głębi wspaniałego jego serca, jak iskra drogocennego ognia, śród ponurych ciemności zimowéj nocy. Pan Michał rzucił syna na igrzysko świata, i ludzie jakieśmy to widzieli, różnie ocenili Antosia; wiele on przenosił cierpień niezasłużonych; ale im ciężéj, im dotkliwiéj przygniatało go brzemię żywota, tem jaśniéj przedstawiał się w duszy jego obraz człowieka pracy. Wiecież wy, kochani czytelnicy, czem na świecie jest człowiek pracy i co to jest człowiek pracy? Ty biedny, spracowany, okryty pyłem i potem rzemieślniku, coś po trudzie całodziennym skołataną głowę do snu skłonił, pomodliwszy się przed obrazkiem świętym ojców twoich, ani wiesz może, czem jesteś pośród ogromnéj rodziny ludzkiéj. W pokorze ducha, nie czujesz, ile znaczysz, ile ci winni współbracia. Ale Bóg, który ci z łask swoich nic nad te dwie święte ręce strudzone w udziale nie dał, pomieścił cię przez to, w gronie ludzi najpożyteczniejszych, pomieścił cię najbliżéj siebie. Bogacz na puchach, śród błyskotek i zabaw, daremnie snu szuka, twarz jego nędzna lub wypasiona, przy twojéj twarzy strudzonéj, wydaje się owym trupim cieniem, który trwożnych przechodniów straszy po nocach. Zasmolone ręce twoje, w których połyska młot lub siekiera, są tem ogniwem wspólnych trudów, dla których wszyscy żyjemy. Głos twój, pieśń twoja, radość twoja, to radość nasza, to radość całego kraju; bo gdzie pracy nie ma, ustaje pomyślność i byt dobry. Wystawcież sobie, coby to było, gdyby nagle wszyscy pracować przestali, gdyby zamiast świętego trudu, dały się słyszeć pieśni hulaszcze i pijackie; gdyby rzemieślnik, chcąc naśladować bogacza, pędził dni marne w próżniactwie i kłótniach wzajemnych. Wszystko by runęło wtedy, dziatki wasze nie miałyby przykładu, zepsucie zakorzeniłoby się w sercach waszych, zbrodnia znalazłaby panowanie między ludźmi. Widzicie więc, czem jest owa praca, czem są strudzone ręce wasze, czem wy pośród ludzi jesteście. Dumni bądźcie, że należycie do wybranego koła pracujących, bo ten

kto nie pracuje, ani w samym sobie, ani u drugich nie znajdzie pociechy.

Im więcéj zatem pan Michał uważał młodszego syna za przepadłego, tém on o niczem innem nie marzył, jak tylko, żeby rodziców swoich pocieszyć, o niczem innem nie myślał, jak tylko aby prawym zostać człowiekiem.

Tymczasem, starszy brat jego, w biurze, przywiązywał się tylko do papieru, pióra i atramentu, a najwięcéj do pensji, którą już oddawna pobierał. Dom rodzicielski, matka i ojciec, w ciemnéj wyobraźni jego, oddawna już mgłą się pokryli, mgłą zapomnienia i chłodu. Nowo sprawione obówie lub łaskawe słowo naczelnika, intryga kolegi lub awans przyobiecany, chłonęły całą jego istotę. On znów o niczem innem nie marzył, jak tylko o najrychlejszem pozyskaniu znaczenia; jeżeli mu zaś w myślach takich dom rodzicielski przyszedł na pamięć, odpychał to wspomnienie, jak widmo ohydne. „Co ja tu zrobię—pomrukiwał, gdy do Warszawy przyjedźie mój ojciec, w długim swoim surducie, w spodniach zasuniętych w cholewy i w swojéj rogatywce! Co ja zrobię wtedy!” I tak się tą myślą niepokoił, że radby był o sto mil oddalić się od ojca, który go kochał, którego był ulubieńcem! Łatwo ztąd pojmiecie odrazę, z jaką myślał o młodszym bracie czeladniku. Tymczasem, ten brat czeladnik, rosł własce u Boga i u ludzi, kwitł jak owa pyszna latorośl winnicy Pańskiéj, rozrastał się jak dąb potężny, o który wspierali się słabsi przyjaciele, bliźni. Osądźcież teraz, kochani czytelnicy, który więcéj wart na świecie, z takich dwóch ludzi?


Grzela ratuje matkę i dziecko z powodzi.—(str. 158, szp. 2).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Zabłocki).

Panu Michałowi, który w późne już lata zachodził, działo się jakoś niepomyślnie. Coraz mniéj mógł około roli pracować, ale chętka do kłótni i procesów nie osłabła nigdy. Dumny z syna, który coraz wyżéj w awansie postępował, nikomu, ani z sąsiadów, ani z obcych, z kimkolwiek się spotykał, z drogi nie ustępował. Przychodziły mu prawda niekiedy myśli smutne, z powodu owego syna urzędnika, bo ten wcale o ojcu nie pamiętał, i na częste listy ani słowa nie odpowiadał; nie chciał przecież pan Michał przypuszczać, aby tak czarnéj doznał niewdzięczności. Nigdy jednakże nie wybrał się do syna, gdyż jak sam mówił, powinien on był odwiedzić naprzód ojca. Tymczasem chytremu biuraliście tego tylko było potrzeba; uniewinniał się ciągle brakiem czasu i nigdy do rodziców nie zajrzał. Ale nadeszła wreszcie chwila, w któréj się zobaczyć mieli. Przez gwałtowność swoją, wplątał się pan Michał w proces sądowy o pobicie, i to mocne; sprawa do wyższych sądów przeszła do Warszawy, co zmusiło go wreszcie wybrać się do syna. Jak zwykle więc, w kapocie długiéj granatowéj, w świeżo wyczyszczonym bucie i wysokiéj rogatywce, puścił się pan Michał przez stolicę, z Zajazdu przez Wolnicę prościuteńko do biura, w którem zasiadał syn jego Franciszek. Nie widząc ulubieńca swego przez lat blizko dziesięć, miłem poił się marzeniem niespodzianki, jaką mu sprawi przy spotkaniu. Pełen więc otuchy i nadziei, rozpytując się tu i owdzie gorączkowo, niecierpliwie, wchodzi nareszcie do pokoju, w którym ujrzeć miał przedmiot swoich odwiedzin.

O Matko Boska! A co się z tobą stało mój Franusiu — zawoła pan Michał, po długiem przypatrywaniu się synowi, którego wreszcie poznał i szybko podbiegł ku niemu.

Syn stał jak słup nieruchomy. Poznał ojca, poznał doskonale, ale tak się widokiem jego przeraził, jakby weń piorun uderzył. I chłopiec ten, który drżał na jedno słowo naczelnika, któremu plama atramentowa na świstku papieru, wydawała się chmurą burzy, który biegał jak pies legawy na jedno skinienie zwierzchników — chłopiec ten, spostrzegłszy siwiznę rodzica, zląkł się i zawstydził. Nie wiedział co zrobić ze sobą, stał i nic przez długi czas nie odpowiadał. Nareszcie pierwszem słowem jego było:

Ach! pocóż tutaj, pocóż do biura?... trzeba było uwiadomić. Tu tarł ręce i znowu milczał.

Dziecko... dziecko! czyż mnie nie poznajesz!.. zawołał pan Michał, drżąc z gniewu i goryczy, i powtarzał jeszcze kilkakroć głosem cichym, bacząc na miejsce, w którem się znajdował:

Dziecko! tyżeś to dziecko moje!

Nie wiadomo jakby się ta scena była skończyła, gdy Franciszek przerażony wyraźnem oburzeniem kolegów, z których kilku tupnęło groźnie nogą na taką zniewagę rodzica, podbiegł ku niemu i niby to się przywitał; tymczasem zrobił on to głównie dla tego, aby jak najśpieszniéj ojca pod pozorem pomówienia na osobności, w najciemniejszy kąt przedpokoju zaprowadzić. Ale twarz rodzica życiem burzliwem i wiekiem zmarszczona, a rozjaśniona na chwi-

lę ujrzeniem lubego dziecięcia, w tem większe zorała się bruzdy, tem groźniejszego nabrała wyrazu. Raz w życiu może, szlachcic ten poczciwy, choć zuchwały i gwałtowny, raz pierwszy może miał ból tak srogi; ćmiło mu się w oczach, powieki krwią nabiegły, serce biło jak młotem, ze skroni zdawały się buchać płomienie. Nasępione czoło pochyliło się ponuro, późniéj na czoło to opadła ręka, żylasta, chuda, owa wyrazista ręka starości i zakryła je; nieszczęśliwy ojciec, stał jak skamieniały i nic do syna nie mówił. I syn milczał przypatrując się zmianom, jakie wiek w postaci ojca sprawił. Ale ani włos siwy, ani rozpacz starca, ani zorane czoło rodzicielskie, ani ta dłoń usychająca, nie wzruszyły syna, nie wzruszyły kamiennego karjerowicza!

Wywiedziawszy się naprędce, gdzie zajął mieszkanie starzec, obiecał przyjść do niego w niedzielę, bo w dzień powszedni, jak mówił, czasu nie miał. Starzec nacisnął rogatywkę na czoło i odszedł ponury. Syn siadł znowu przy biurku i pisał najspokojniéj. Ale koledzy szydzili z niego, i jawnie mu swoją pogardę okazywali. Sam naczelnik nawet, dowiedziawszy się o tem, i więdząc jaką ma władzę nad trwożnym umysłem biuralisty, zgromił go srodze, przypomniawszy powinności rodzinne. Oszołomiony tylu niezwykłemi wrażeniami, najwięcéj zaś bojąc się opinji kolegów, w niedzielę według obietnicy, poszedł do wskazanego zajazdu. Ojca tam nie zastał; powiedziano mu, że od wczoraj mieszka u jakiegoś rzemieślnika i wskazano ulicę i numer domu; tam się udał Franciszek. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy zaledwie drzwi od czystéj i skromnéj stancji uchylił, ujrzał ojca siedzącego na krześle wygodnem z twarzą rozpromienioną szczęściem. Przy nim siedział tuż blizko piękny młodzieniec, i patrzył w twarz starca; starzec patrzył w twarz jego i trzymając rękę na silnem młodem ramieniu, cichą prowadził rozmowę. Obraz ten był tak wspaniały, że zdawało się, jakoby cisza odszeptująca łagodne ich słowa, napełniała skromną stancyjkę urokiem świętości; zdawało się że rozmowie téj towarzyszyła radość niebieska. Pogodne oko to ma do siebie, że rozpromienia wszystko co je otacza.

(Dokończenie nastąpi).

POGRZEB GRZELI.

Siedm dni deszcze z nieba się lały,
Zniszczyły zboża, zebrały siano;
Aż przecie wytchnął naród struchlały:
W ósmy dzień straszny deszcz ustał rano.
Lecz Warta jeszcze szaleje wciąż,
Pieni się, huczy, syczy jak wąż,
I tak rozlana pędząc polami,
Zerwała z trzaskiem młyn niedaleki;
Nad brzegiem lud się garnie kupkami,
Z drżeniem Niebieskiéj wzywa opieki;
Widząc z nad wody bydełka rogi,
Patrząc jak siana pływają stogi.
A śród skupionéj gromadki stał,
Parobczak,—imię Grzegorza miał,
Lecz we wsi głupim Grzelą go zwali:
Wielcy i mali.
Bo Grzela stronił od karczmy w święta,
Więc go i głupim zwały dziewczęta,
Bo Grzela w święta stroił swą skrzypkę,
I za wieś chodził grać se pod lipkę,
I tak niejedną grywał godzinę,
Aż sobie wygrał biedną dziewczynę.
Ona sierota tak jak i on,
Oboje rodem z tych samych stron.
Tak stał i Grzela nad Wartą wciąż,
A Warta huczy, syczy jak wąż,
I oto, dziwo! między belkami,
Nagle kolebka płynie z falami;
A z téj kolebki płacz taki leci,
Jak płaczą z bólu, lub z strachu dzieci.
Aż oto! zaraz za tą dzieciną,
Płynie kobieta, belki się trzyma,
Krzyki jéj w szumie bałwanów giną,
Strasznemi na brzeg rzuca oczyma...
A z brzegu jedni biegną po tyki,
Inni powrozów wołają z chat,
Tylko Grześ-głupi, czulszy na krzyki,
Szybko się zewlókł ze zwierzchnich szat,
I wpadłszy w fale płynie i płynie,
Ku téj kolebce, ku téj dziecinie:
Bo ta kolebka wciąż się tak chwieje...
Za chwilę można stracić nadzieję.
Przypłynął, dziecko wziął w silną dłoń,
I tak z niem płynie przez straszną toń.
Przypadł do brzegu, oddał dziecinę,
I nim się rzucił w czarną głębinę;
Woła o powróz, a gdy go miał,
Do téj kobiety po falach rwał,
I głupi Grzela choć był zziajany,
Po krętych wirach przez te bałwany
Dognał nieszczęsną, powróz jéj dał,
I tak z nią wraca, choć prawie mdlał.
Dotarł do brzegu, i zamiast wprzód
Wyjść, z głębin rwiących na miałki bród,
Głupi-Grześ pomógł mdlącéj kobiecie,
Wyjść by ujrzała co tchu swe dziecię.
Gdy potem na brzeg sam się dobywa,
Nagły się łoskot poza nim zrywa:
Belka się z belki zsunęła w prądzie,
I Grzesia ciężko rani przy lądzie,
Tak, że w znak pada znowu śród fali;
Krzyknęli strasznie, co zdala stali,
Bo Grześ już więcéj nie wyjrzał z wody,
I tak dni skończył parobczak młody.

* * *

Nazajutrz Warta w cichéj dolinie,
Jak zawstydzona, pokornie płynie,
Opadła zwolna fala po fali,
We wsi się każdy nad Grzesiem żali.
I nikt go głupim zwać się nie waży;
Ciężko wzdychali młodzi i starzy,
A jak ta wioska, wioską na świecie,
O takiéj cnocie słychu nie było:
Naraz ocalić matkę i dziecię,
Samemu zginąć!...
—Tak się złożyło.
—Tak się złożyło? O! moi mili,
Rzekł siwy sołtys, niech od téj chwili
Więcéj tak wielkich cnót się układa,
A będzie szczęsną każda gromada,
Będzie szczęśliwy i cały świat,
Będzie miał skąpiéj szkaradnych wad,
A więcéj serca i téj chętności,
Co wiele czyni z Bożéj miłości.
Tedy się stało: nazajutrz rano,
Ciało na wodzie Grzesia ujrzano,
Jak wypłynęło z cichéj głębiny,
Jak się wplątało między łoziny.

Więc bosakami je wydobyto,
I w prześcieradło białe spowito,
I tak złożono w chacie na ławie.
Zbiegło się luda,—ci patrzą łzawie,
Inni głowami kiwają smutnie;
A tylko jedna płacze okrutnie:
Było to dziewczę, dziewczę z pod lipki,
Co tak kochało Grzesiowe skrzypki.
Płacze okrutnie, klęczy przy ciele:
—Otóż mi z Grzesiem teraz wesele!
O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże,
Komuż ja teraz serce otworzę!
Rybki ci były w wodzie druchnami,
Byłeś na godach z zielem—trzcinami!
Wianki ci splotły wodne lilije...
A ja po tobie gorzkie łzy pije...
O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże,
Komuż zbolałe serce otworzę!..

* * *

Zeszły się babki stare zgarbione,
Śpiewały smutnie: „Pod Twą obronę"
I inne pieśni nucą żałośnie,
Że aż od żalu serce ci rośnie,
Że łzy nietylko ci pod powieką,
Ale i z serca kroplami cieką!
Wgłowach dwie świece woskowe gorzą,
W ręku obrazek miał z Matką Bożą,
A jeszcze w dłoniach obrączka biała,
Tak na serdecznym palcu błyszczała!
Wniesiono mary i trumnę białą,
I w niéj złożyli Grzesiowe ciało,
I tak zabili w drewnianym grobie,
Z krzyżem na drogę, czarnym w żałobie.
Z kościołka jęczą dzwony żałośnie,
Smutniéj niż puszczyk jęczy o wiośnie;
Czeka tam z księdzem gromada cała,
W chórze z organów pieśń śliczna grała.
Przed kościół przyszedł wózek z wołkami,
Stanął przed kruchtą między lipami;
Aż też ksiądz wyszedł z wodą święconą.
Z wieży na pochód już zadzwoniono,
Dwa płowe wołki z miejsca ruszyły,
I smutnie jakoś głowy zwiesiły.
Ale za księdzem dwoma rzędami,
Bractwa i cechy szły ze świecami:
Taka z nich jasność biła wokoło,
I tyle luda wyszło za ciałem,
Że nie słyszało od wieków sioło,
O tak chowaniu kogo wspaniałem.
Tedy ksiądz proboszcz śpiewa z wikarym,
I organista wtórzy ze strony,
A z wież wciąż jęczą zwyczajem starym,
Przy sygnaturce dwa wielkie dzwony...
Oto i widać otwarte wrota.
I krzyż rozciąga święte ramiona,
I mniejsze krzyże sterczą z za płota,
A matka ziemia już otworzona;
U dołu grabarz na rydlu wsparty,
Wołki stanęły już z trumną białą;
Ksiądz smutnie słowa przeczytał z karty,
I żegnał Grzesia mową wspaniałą.
A gdy „Odpoczynek" mu odmówili,
I gdy na sznurach trumnę spuścili,
By święta ziemia lżejszą mu była,
Każdy porzucił garść matki ziemi,
Że się z tych garstek cała mogiła,
Zamknęła wiecznie dłońmi bratniemi...
Takim pogrzebem gromada cała,
Grzesia sierotę ziemi oddała.

* * *

Już słońce zgasło, zniknął dzień biały,
Na niebie błyszczą zorze wieczorne,
Ciche mogiłki w koło leżały,
Jako w gromadzie owce pokorne.
I tylko jedno dziewczę zostało,
Świeży grób stroi bratków wiankami,
I klęcząc, ciężkim płaczem płakało,
Twarz zakrywając sobie rękami:
—O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże!
Komuż ja teraz serce otworzę!
Rybki ci były w wodzie druchnami,
Byłeś na godach z zielem, trzcinami!
Wianki ci splotły wodne lilije,
A ja po tobie gorzkie łzy pije...
O! mój ty Grzesiu, Grzesiu nieboże,
Komuż zbolałe serce otworzę!

O konieczności ulepszenia pieców w mieszkaniach.

Kiedy zimno na dworze, a często nie cieplej w domu, wtedy najwłaściwiéj jest pomówić o naszych patryarchalnych piecach. Nie zdaje mi się ta kwestja zbyt trudną do rozwiązania, lecz może dlatego, właśnie, iż jest powszednia, że dotyczy wyłącznie mieszkańców ubogich, że lasów i opału nie cenimy, nikt o ulepszeniu pieców nie myśli u nas na serjo i rzeczy idą starym trybem.

A tryb to jest zanadto staroświecki. Ma on kilka kardynalnych wad. Najprzód: te szafy ogromne porozstawiane po kątach każdéj izby, są nazbyt duże, zajmują wiele miejsca; kominy ciężkie, grube, wysokie, zalegają całe poddasze. Powtóre: zużywają drzewa dużo, pękają, swędzą, a pochowane w ściany, mało stosunkowo dają ciepła. Nie niosę tu nowego pomysłu, ale biorąc na uwagę wszystkie niedogodności, pytam: jest że wiek dziewiętnasty, w którym wynaleziono telegraf elektryczny, lokomobilę, balon Nadara i tysiące bardzo dowcipnych machin, a nie zdobyto się na lepszy pomysł budowy pieców? Tych co się znają na tem, zapytałbym: czy koniecznie potrzebną jest w izbie ta bryła z kilkutysięcy cegieł, często długa na trzy lub cztery łokcie, zjadająca na jedno danie sporą wiązkę drew, dlatego tylko, ażeby ogrzać jedną część boku swego? Czy to dobrze, że ten niedołężny kadłub, bez formy i kształtu, stoi w pokoju zupełnie niepotrzebny przez całe lato? Czy to dobrze, że lada zepsucie wewnątrz wymaga kłopotliwéj naprawy, a czyszczenie wytrząsa sadze na ściany i sprzęty? Czy rozum ludzki, do tyla okazał się niekompetentnym, iż nie mógł zdobyć się na przeprowadzenie dymu w sposób lepszy jak za pomocą leżaków i komina, ważących jakie kilkanaście tysięcy funtów? Mam wielkie przekonanie o rozumie ludzkiem i nie przypuszczam, ażeby mógł się poszkapić na tak błahéj rzeczy, a jednakże widocznie zapomniał on, że ta błahostka zasługuje na zajęcie się nią i jest ważniejszą w rzeczy saméj, niż wiele wynalazków innych. Wnoszę więc na sąd ludzi fachowych kilka uwag. Czy nie dałyby się nasze stałe piece, zamienić na ruchome, mniejsze i o lepszym rysunku? Czy leżaki i kominy nie mogłyby być zastąpione przez żelazne rury? Czy nie możnaby tak urządzić pieców, ażeby te składały się z kilku części i dowolnie w razie potrzeby, składanych lub rozbieranych? Jeżliby te tylko dały

się uchylić niestosowności, jużbyśmy znaczne odnieśli korzyści, a ludzie fachowi zapewne znaleźliby do udoskonalenia coś więcéj. Czemużbyśmy wreszcie nie mieli kupować gotowych pieców, jak nabywamy meble? Znane francuzkie piecyki są dowodem, że takie pomysły nie są niepraktyczne. Jeśliby je tylko zrobić odpowiedniejszemi do naszego klimatu, do naszych potrzeb i miejscowych warunków, a mogłyby stać się dogodnemi dla wszystkich. Podajemy tę myśl w nadziei, że pp. architekci uwzględnią ją i łatwo urzeczywistnią. Dobre urządzenie w domu pieców, potrzebniejsze nam jest, niż wieżyczek, balkonów, kolumnad i t. p. rzeczy. Do słomianéj strzechy niepodobna zastosować żadnego stylu, a piec dobry i do komnaty i do izby koniecznie jest potrzebny. Prosimy więc Redakcję niniejszego pisma, ażeby tę myśl wzięła w opiekę.

ROZMAITOŚCI.

— Bibljoteka Główna w pałacu Kazimierowskim coraz więcéj przystępniejszą dla publiczności się staje. Od dnia 1 maja otwartą jest dwa razy dziennie, mianowicie od 9 do 12 zrana i od 4 do 7 popołudniu. Dogodność tę, szczególniéj uczniowie Szkoły Głównéj ocenią należycie. Jest jeszcze atoli jedna wielka wada w urządzeniu Bibljoteki, to jest, że chcąc czytać jakie dzieło, potrzeba po niego przychodzić dwa razy, zrana zamówić, a popołudniu dopiero dostać do przeczytania lub też popołudniu zamówić, a nazajutrz zrana przyjść go przeczytać. Dla uczniów zrana i popołudniu znajdujących się w pobliżu Bibljoteki Głównéj, urządzenie to nie wiele znaczy; ale dla reszty publiczności, zmuda wielka. A cóż dopiero, jeżeli jeszcze trafi się, że dzieło jest wypożyczone na miasto; podwójne więc chodzenie naprózne. Ja sam, trzy razy przychodziłem do Bibljoteki, chcąc za każdą razą przeczytać inne dzieło — tak szczęśliwie jednak trafiłem, iż żadnego z nich dostać nie mogłem i za moje sześć razowe peregrynacje z pod Wolskich rogatek, miałem zaszczyt oglądać tylko kartki z czerwonemi napisami: „wydane na miasto." Już dawniejsze urządzenie było lepszem; — jeżeli nie było dzieła, to mi przynajmniéj odrazu, chociaż po pół-godzinnem oczekiwaniu, powiedziano, że książka wypożyczona. Dziś postęp, bo ażeby nie dostać książki, potrzeba aż dwa razy chodzić. Czyby nie można tak się urządzić, aby tylko duplikaty wypożyczać na miasto i aby w Bibljotece był alfabetyczny wykaz wypożyczonych książek, z którego to wykazu przekonaćby się można, czy warto po raz drugi przychodzić?



Ksiądz smutnie słowa przeczytał z karty. — (str. 159, szp. 1). (Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

— *Żyrard* (Girard), który w kraju naszym, jako przedsiębierca przemysłowy, położył znakomite zasługi, a pomiędzy innemi założył słynną Żyrardowską fabrykę płócien, wywędrował z Francji, jako biedny majtek, w Luzjannie posunięty został na stopień kapitana okrętu, dorobił się znacznego majątku, a najbardziéj wzbogacił się przez powstanie na wyspie Haiti pod Tussen-Luwertiur (Toussaint-Louvertiure), ponieważ wielu w Haiti osiadłych francuzów, z początkiem powstania poruczyło mu do schowania swoje majątki; największa ich liczba, wraz z rodzinami w późniejszych walkach poginęła, tak, że w posiadaniu Żyrarda znakomite pozostały summy, po które, pomimo wszelkich usiłowań, nikt już nie zgłaszał się. Żyrard umierając, zapisał kilka milionów dolarów na założenie *Domu sierot* na 500 osób w Filadelfii; w skutek tego wznosi się obecnie wspaniała budowa, w któréj 250 mężkich i 250 żeńskich sierot znajdzie przytułek, wychowanie i naukę, a które nawet po uzdolnieniu do praktycznego życia, dalszéj opieki zakładu doznawać będą.

— Jakkolwiek lud nasz wiejski, zahartowany do wszelkiego rodzaju niewygód, obywa się najchętniéj bez obówia i niemal przez cały rok boso chodzi, to przecież i ta część stroju, mogłaby mieć swoją historję i przedstawia dość charakterystyczne różnice. W ogóle but skórzany, uważa się u naszego ludu za zbytek, i przywdziewa tylko od wielkiego święta; dla tego też, spotkać nawet można do kościoła wędrujące gromady boso z butami i trzewikami na plecach. Dopiero zbliżając się do świątyni Pańskiéj, ogólne obuwanie się następuje. Nie podobna nam utaić, iż lud Polski krótkich butów nie lubi, i nigdy ich nie nosi, zowiąc malowniczo wszystkich, którzy je używają, pantoflarzami. Dla tego też, w niewielu tylko okolicach na Kurpiach w puszczach Ostrołęckich, znane są saboty (chodaki) z lipowego drzewa wystrugane. Więcéj już są upowszechnione mianowicie u Poleszuków trzewiki z kory łozowéj lub lipowéj plecione, nazywane łyczkami albo postołami. Poleszucy, celują misternem wyrabianiem tego obuwia, które sznurkiem do nogi przytwierdzają, obwinąwszy ją wprzódy kawałkiem płótna.

—Liczba współpracowników *Opiekuna Domowego* zwiększona została, przez przybycie na stałe zamieszkanie do Warszawy, znanego literata Krakowskiego, Edwarda *Lubowskiego*, rodzonego brata zawcześnie zmarłego znakomitego muzyka i kompozytora.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 5 (17) Maja 1865 r.